

TEATRA AMATORSKIE.

TRZECH MYŚLIWCÓW

Komedja w I. akcie

oryginalnie napisana

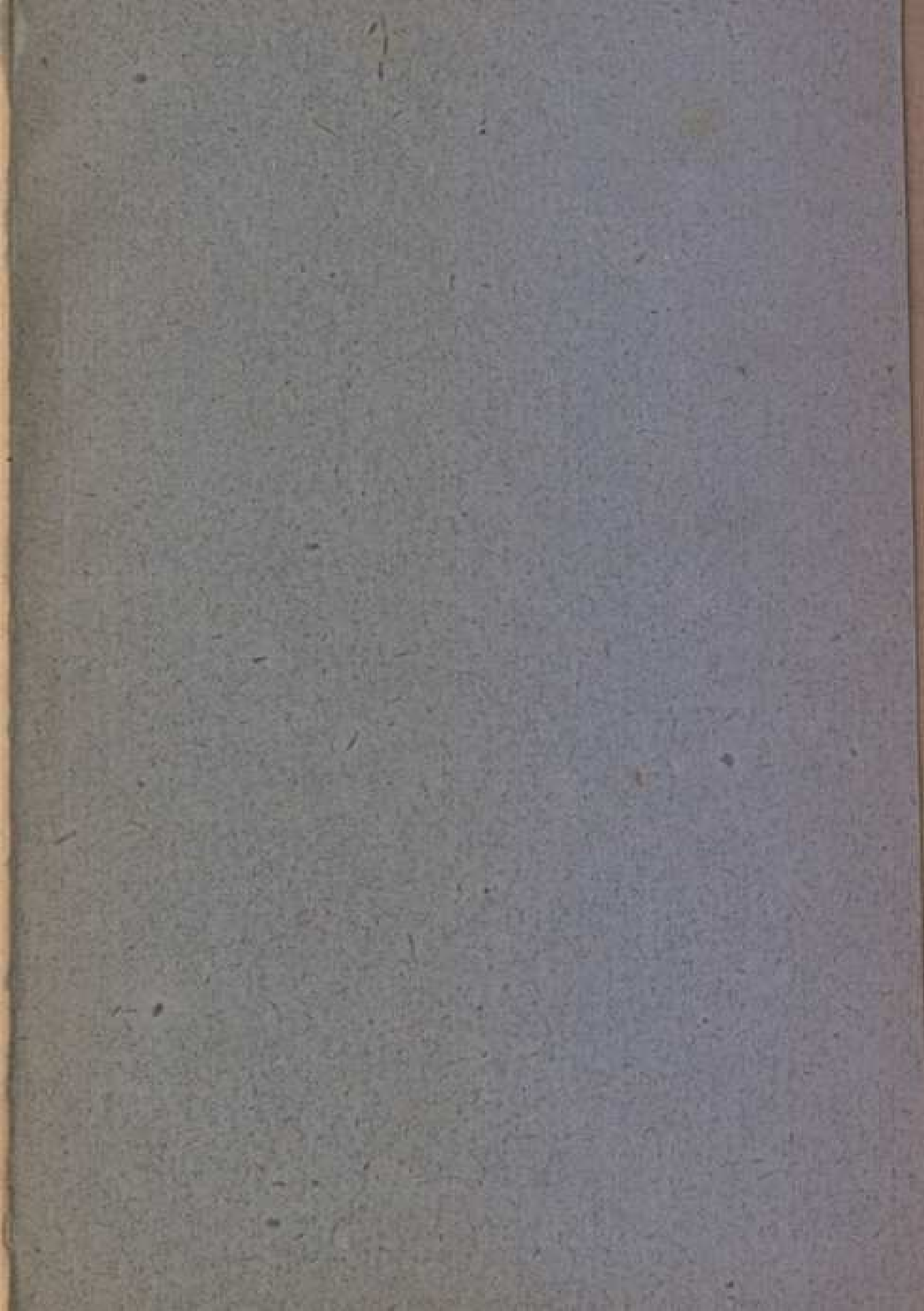
przez

LUCJANA KWIECIŃSKIEGO.



KSIEGARNIA POLSKA
L. K. BARTOSZEWICZOWEJ.

14. Plac Halicki, Lwów.



TRZECH MYSLIWCÓW.

Komedja w I. akcie

oryginalnie napisana

przez

ŁUCJANA KWIECIŃSKIEGO.



Nakładem Księgarni Polskiej

L. K. BARTOSZEWICZOWEJ.

14. Plac Halicki, Lwów.

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA

~~801~~ / 2053

Kwie
Tze

OSOBY:

Antonina	Pani Kwiecińska
Henryk	Pan Kasprowiec
Hrabia Zygmunt	Pan Lubiez
Jamiński	Pan Zboiński
Aleksander	Pan Walewski
Malwina, pokojówka	Pani Piasecka
Franciszek, lokaj	Pan Krykiewicz

Rzecz dzieje się w Krynicy.

Przedstawiona na scenie Lwowskiej po raz pierwszy
dnia 5. marca 1886 r. *)

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA

~~1053~~

*) «W obec scen Teatrów nie Amatorskich zastrzegają się praw autorskie».

(Scena przedstawia salonik bardzo elegancko umeblowany).

SCENA I.

(Za podniesieniem kortyny, Malwina trzyma list i bukietik fiołków. — Oleś w drzwiach na wpół otwartych).

MALWINA — OLEŚ.

OLEŚ.

Więc pamiętaj Malwiniu, jak tylko się obudzi,
wręcz jej jedno i drugie.

MALWINA.

Dobrze, dobrze.

OLEŚ.

Jak tylko otworzy jedno oko...

MALWINA (śmiejąc się).

To oddam fiołki.

OLEŚ.

Tak, tak.

MALWINA.

A jak drugie otworzy... to list.

OLEŚ.

To, to... Do widzenia.

(Posłała jej całuska od ust i wychodzi).

SCENA II.

MALWINA (śmiejąc się).

Mój Boże, gdyby moja pani chciała dla wszystkich być wzajemną, to chyba musiałaby mieć serce tak olbrzymie, jak... Ale umieśmy to na swoim miejscu.

(Kładzie fiołki w odpowiedni flakonik, a list do koszyka na bilety).

SCENA III.

MALWINA — FRANCISZEK.

(Wchodzi Franciszek, trzymając olbrzymi bukiet i bilet wizytowy — Malwina odwraca się).

MALWINA.

A, to od pana hrabiego?

FRANCISZEK.

Tak... Proszę to wręczyć przy przebudzeniu się pani.

MALWINA (odbierając).

Dobrze.

FRANCISZEK (usmiechając się, podaje jej żółty kwiatek).

A to dla panny Malwiny odemnie.

MALWINA (dygając).

Dziękuję.

FRANCISZEK.

Ach, panno Malwino! gdybyś...

MALWINA.

Idź pan, idź pan! teraz nie mam czasu.

FRANCISZEK.

Tylko dwa słowa.

MALWINA.

Nie mam czasu teraz... Po południu będę przechodziła przez deptak, to się spotkamy.

FRANCISZEK.

O której?

MALWINA.

Koło czwartej.

FRANCISZEK.

A więc... *Arivederci!*

MALWINA.

Cóżto znowu za dowcip?

FRANCISZEK.

Ja mówię... „*Arivederci*”.

MALWINA.

Tylko żadnych kpin... Niech się pan nie zapomina.

FRANCISZEK.

Przecież to nie kpiny — to zwykle się tak mówi, jak się odchodzi.

MALWINA.

A cóż to znaczy?

FRANCISZEK.

To znaczy...

(namyślając się).

„*A więc będę czekał*”.

MALWINA.

A to po jakiemu?

FRANCISZEK.

To... to z hiszpańskiego.

MALWINA.

To pan Franciszek umie po hiszpańsku?

FRANCISZEK (z dumą).

Będąc w Ostendzie, cokolwiek potapałem.

(Słychać dzwonek).

MALWINA.

Uciekaj pan, uciekaj!

FRANCISZEK.

Do miłego!

(Wychodzi).

MALWINA (po odejściu Franciszka kładzie bukiet do odpowiedniego wazonu a bilet wizytowy do koszyka).

Na swoje miejsca.

(Słychać dzwonek).

W tej chwili, proszę pani.

(Wychodzi na lewo).

SCENA IV.

(Wchodzi Jamiński — Stary, zdechoszowany kawaler — bardzo elegancki w obejściu — komiczny, ale nie karykaturalny).

JAMIŃSKI — potem MALWINA.

Cóżto? niema nikogo, ani tu, ani w przedpo-
koju?... Pewnie śpi jeszcze.

(Wchodzi Malwina).

MALWINA.

A, pan Jamiński!

JAMIŃSKI.

Pani już wstała?

MALWINA.

W tej chwili się przebudziła — ale dopiero
za godzinkę wyjdzie do salonu.

J A M I Ń S K I (głaszcząc ją pod brodę).

Moja śliczna turkaweczko, bądź tak dobrą,
oddaj jej ten kwiatusek i powiedz, że to odemnie.

(Wyjmuje różę z dziurki surduta i daje ją Malwinie).

M A L W I N A.

Dobrze.

J A M I Ń S K I (dając jej pieniądze).

A to, dla ciebie — na szpilki.

M A L W I N A (biorąc).

Dziękuję... Ale mi teraz szpilek nie potrzeba...
Gdybym tak sobie mogła kupić nowy kapelusz,
tobym dopiero była szczęśliwą.

J A M I Ń S K I.

Kapelusz?

(Dając jej pieniądze).

Masz i na kapelusz... Ale powiedz mi, czy
twoja pani cieszy się, jak jej oddajesz odemnie te
róże?

M A L W I N A (filuternie).

Zawsze je całuje.

J A M I Ń S K I (dając jej pieniądze).

Masz i na parasolkę.

M A L W I N A.

Dziękuję.

J A M I Ń S K I.

Więc za małą godzinkę przyjdę...

(Odchodzi — wracając się).

A może wcześniej można przyjść... co?

M A L W I N A (filuternie).

Niech pan przyjdzie za trzy kwadranse — kto
wie, może będzie już ubrana.

J A M I Ń S K I.

A pamiętaj wychwalać mnie przed swoją panią... Jak ją ubierasz, to wtrąć tak od niechcienia «Ach! proszę pani, jaki ten pan Jamiński miły... ja go wolę, jak niejednego młokosa!»

M A L W I N A (filuternie).

Pan myśli, że ja tego nie mówię? Oho, mało z dziesięć razy już to powiedziałam.

J A M I Ń S K I.

A ona co na to mówi?

M A L W I N A.

Ona mówi: «Podzielam zupełnie twoje zdanie».

J A M I Ń S K I.

Doprawdy?

M A L W I N A.

Tak, proszę pana.

J A M I Ń S K I (uradowany, dając jej pieniądze).

Masz tu jeszcze i na rękawiczki.

M A L W I N A.

Dziękuję.

J A M I Ń S K I.

Możesz także wtrącić przy sposobności: «Ach, proszę pani — jaki ten pan Jamiński zdrow! Nie-raz widziałam, pędził przez ulicę, jak jaki student — musi być silny w nogach!»

M A L W I N A.

Właśnie — wczoraj to powiedziałam. «Proszę pani, jaki ten pan Jamiński silny! Wczoraj poślizgnął się i zleciał z dwunastu schodów. Inny w jego wieku, toby rozsypał się jak pruchno, a on,

zerwał się jak fryga i tylko strzepnąwszy sobie suknie z prochu, popędził jak strzała!»

J A M I Ń S K I.

A ona co na to?

M A L W I N A.

A ona powiedziała: «Już teraz takich mało!»

J A M I Ń S K I.

Tak powiedziała?

M A L W I N A.

Tak, proszę pana.

J A M I Ń S K I (dając jej pieniądze).

Masz tu Malwinciu i na okrycie jeszcze.

M A L W I N A.

Dziękuję.

J A M I Ń S K I.

Więc za pół godziny jestem z powrotem.

M A L W I N A.

Dobrze.

J A M I Ń S K I (odchodzi — wincając).

Masz tu jeszcze na sukieneczkę, a wymyśl tam co, aby mnie twoja pani więcej polubiła.

M A L W I N A.

Już niech pan będzie spokojny. Pan jesteś bardzo dobrze położony u mojej pani.

J A M I Ń S K I.

Co ty mówisz?

M A L W I N A.

Słowo daję.

J A M I Ń S K I.

Poczekaj...

(Wyjmuje pieniądze i daje jej)

Dam ci jeszcze i na trzewiczki, to będziesz miała już cały garniturek.

MALWINA.

Ślicznie dziękuję.

JAMIŃSKI.

A jak zrobisz to u twojej pani, że mnie pokocha... to ci dam posag.

MALWINA.

Dobrze, proszę pana.

(Na stronie).

Trzeba będzie bez posagu wyjść za mąż.

JAMIŃSKI.

Więc za pół godziny jestem z powrotem.

MALWINA.

Dobrze.

JAMIŃSKI.

Arivederci!

MALWINA.

Co pan mówi?

JAMIŃSKI.

Mówię: «Do widzenia».

(Głaszczo ją pod brodę).

Do widzenia!

(Malwina dyga — Jamiński wychodzi).

SCENA V.

MALWINA (sama).

Przesłyszało mi się — myślałam, że i ten powiedział „*Aiverdeci*”. — A teraz, połóżmy to na swoje miejsce.

(Kładzie różę do flakonika).

Śmieszni są ci ludzie. — I to tak codziennie — i zawsze jedno w kółko. — A pani, wstanie, oglądnie to wszystko, wzruszy ramionami — z niektórych listów naśmiej się, potem każe mi je spać... i na tem się kończy. — A im się zdaje, że ona o nich myśli. Z tych wszystkich wielbicieli, to najśmieszniejsi są: ten staruszek Jamiński i ten młokos pan Aleksander.

(Słychać dzwonek).

W tej chwili, proszę pani.

(Wybiega na prawo i po małej chwili przechodzi przez scenę, niosąc coś z garderoby damskiej. Podczas gdy Malwina wraca, wchodzi hr. Zygmunt).

SCENA VI.

MALWINA — ZYGMUNT.

Z Y G M U N T.

Pani już wstała?

M A L W I N A.

Przed chwilą... Zaraz powiem, że pan hrabia przyszedł.

(Wybiega na lewo).

Z Y G M U N T

(siada — przegląda bilety i listy w koszyczku).

Nowa kolekcja oświadczyń... Doprawdy, nie można się dziwić, że wszyscy ją uwielbiają — bo też trudno spotkać tak piękną, rozumną i dowcipną kobietę, jak ona!

(Bierze list Olesia i czyta adres).

«Madame Łuniewska».

(Podgląda pod światło).

Papier różowy.

(Wącha).

I wyperfumowany. Od jakiegoś młokosa.

(Wechodzi Antonina).

SCENA VII.

ZYGMUNT — ANTONINA.

ANTONINA

(ubrana w elegancki stroju rannym w którym przyjmować można gości).

Cóż pan tak się przyglądasz temu bilecikowi?

ZYGMUNT (zrywając się).

Dzień dobry!

(Całuje ją w rękę).

Pragnąłem odgadnąć, co się w nim mieści — choć trudno wątpić, że to nie miłosny bilecik. Zapach jego zdradza wyrazy miłosne, które ukrywa ta koperta. A zazdrość, podnieca moją ciekawość!

ANTONINA (z uśmiechem).

Zazdrość?... A czy pan masz prawo do zazdrości?

ZYGMUNT.

Jako?

ANTONINA (j. w.).

Wszak zazdrosnym może być tylko mąż lub kochanek. Przecież pan, nie jesteś ani jednym ani drugim — nie widzę więc powodu do zazdrości.

ZYGMUNT.

Niestety!... Do pierwszego tytułu tęsknię, o drugi — napróżno się staram. Kochać mnie pani nie możesz, a wyjść za mnie nie chcesz. Jednakże, gdybym mógł pozyskać twoją przychylność, gdybyś uwierzyła w

szczerłość moich zamiarów, może kiedyś, pozyskałbym choć cząsteczkę twojego serca.

ANTONINA.

Tak mało jesteś pan wymagającym?... I przestałbyś tylko na cząsteczce?... Gdyby nie to, że serce moje jest tak szczególnie urządzone, iż w żaden sposób nie da się podzielić, z miłą chęcią bym ofiarowała panu jego cząsteczkę. Wy bo swoje serca, tak umiecie rozdrabniać na małe cząsteczki, iż jesteście w stanie, z tego niewielkiego kawałka, stworzyć tysiące serduszek, a w danym razie, taką tysiączną cząstkę — jeszcze rozdrabniacie — dla mniej wymagających. Ja zaś mojem sercem, nie jestem w stanie tak dysponować — kto je posiada, posiada je w całości — podziału w tym względzie nie pojmuję.

ZYGMUNT.

Więc jest już taki, który je posiada?

ANTONINA

(cokolwiek wzruszona — po krótkim namyśle).

Jeszcze nie!

ZYGMUNT.

Mogę więc mieć nadzieję pozyskania...

ANTONINA.

Mojej przyjaźni?... tę już pozyskałeś!

ZYGMUNT.

Nie masz pani litości!

ANTONINA

To się panu tylko zdaje... Qwszem, zbyt li-
tości, każe mi panu mówić szczerą prawdę. Naj-
okropniejsza pewność, stokroć lepsza, niż łudzenie

się, które, gdy zostanie odarte z tej błękitnej gazy, przez którą wzrok nie może dostrzedz nagiej prawdy — raptownem opadnięciem, może pozbawić wzroku ludzającego się. Czyż nie powinienes być mi raczej wdzięcznym za to, iż odrazu podaję panu szkła uzdrawiające jego błękitne oczy — że się staram nie dopuścić do katarakty, której zdejmowanie, bądź co bądź, zawsze jest niebezpiecznem.

Z Y G M U N T.

Sposób pani leczenia, oddziaływa na mnie, wprost przeciwnie — i lekarstwo to, zamiast ochładzać, powiększa gorączkę i miłość moją potęguje.

A N T O N I N A (z uśmiechem).

Miłość?... powiedz raczej, próżność twą, hrabio! Mówicie, że kobiety mają próżność. Czemże ona jest w obec waszej próżności? Wy, dopóki nas zdobywacie, jesteście gotowi na wszelkie poświęcenia — i im więcej doznajecie przeszkód, tem silniej w was rozbudza się...

(Zygmunt chce coś mówić).

Chcesz pan powiedzieć *miłość*?

(Zygmunt potakuje głową).

Nie — to próżność, próżność, hrabio — którą, gdy zadowolnicie... dumni ze zwycięstwa swego, tryumfujecie nad naiwnością naszą — i za oddanie się wam, odpłacacie czasem... jałmużną litości. Waszą maksymą jest: «Na świecie za pieniądze, dostać można wszystkiego» i trzymając się tej zasady, najpierw, chcecie nas kupować; gdy to nie skutkuje,

wtedy uciekanie się do środków obłudy — udajecie miłość... A jeśli ofiara wasza da się na to złapać, wyśmiejecie ją potem — i nie troszcząc się wcale, co się z nią stanie, z uśmiechem na twarzy, porzucacie ją — zostawiając innym pocieszenie... Sami zaś, jak ci myśliwcy, oddawszy zwierzynę strzelcom, puszczacie się w głąb lasu, po nową zdobycz. A w późnej starości, siedząc przy kominku, opowiadacie sobie dawne dzieje, siłąc się w swoich anegdotkach na nieprawdopodobieństwa. I jeśli który w życia polowaniu, zastrzelił jedną sarneczkę, to na to konto opowie tysiąc kłamstw — jak ten myśliwy, któremu raz udało się zabić biednego zająca, a opowiadał, że w jego karierze myśliwskiej, prócz niezliczonej ilości jeleni, sarn i dzików — będąc w Afryce, zabił własną ręką lwicę i tygrysa!... Tak, tak, mój hrabio, wszyscyście myśliwcy, przez całe życie — a nas uważacie za te zwierzątka, które w swojej naiwności, ponapędzane przez służbę myśliwską, z trwożliwą miną, same podlatujemy pod strzały wasze. A gdy przypadkiem który z was spudłuje, wpada w niepohamowaną wściekłość!

Z Y G M U N T.

Ależ...

A N T O N I N A (śmiejąc się).

Spudłowałeś hrabio!... I wiesz co możesz zrobić najlepszego?... Oto zaniedbać dalszego polowania — bo zaręczam ci, że szkoda tylko nabojów... Podaj mi rękę i bądźmy nadal przyjaciółmi — zgoda?

SCENA VIII.

ZYG MUNT — ANTONINA — JAMIŃSKI.

JAMIŃSKI (wchodzi).

Bonjour!

ANTONINA.

A! witam pana! Cóż tak wcześnie?

JAMIŃSKI.

O, powiedz pani raczej, że zbyt późno — bo uprzedzono mnie w powiedzeniu pani ślicznego «Dzień dobry».

(Podaje rękę hrabiemu).

Szczęśliwy wybrańcze fortuny — miałeś przyjemność dziś, pierwszy usłyszeć dźwięczny głosik nadobnej Wenus, Djany, Junony! Harmonja całego Olimpu, mieści się w dźwięku głosu cudownej władczyni sere naszych, u której stópek, niewolnik składa pokorne swoje pozdrowienie i wyczekuje jednego spojrzenia swojej królowej — którego blaskiem olśniony, dozna rozkoszy, jakich tu, na ziemi, śmiertelni nigdy doznawać nie mogą.

(Całuje Antoninę w rękę).

ANTONINA.

Cóż panie hrabio? Czyż takimi słowy, nie byłby wstanie wzruszyć nawet skały granitowej? Ten strzał, ugodził w najslabszą strunę mojego serca — jestem zwyciężona. — Uszłam pierwszego strzału, ale drugi nie chybił... Panie Jamiński, nie zazdrość hrabiemu, że cię uprzedził w powitaniu mnie — tryumfuj raczej nad nim — bo pomimo, przeszło

półgodzinnego przekonywania mnie o swoich uczuciach — nie zdołał mnie przekonać — pozostałam głuchą i zimną na jego oświadczyzny. Pan, od pierwszego strzału zwyciężyłeś — zwierzyna padła... lecz miej litość nad nią!

J A M I Ń S K I.

O droga pani! Radość moja, wdzięczność, rozkosz, jakiej w tej chwili doznaję — gotowa mnie do szaleństwa doprowadzić! Jestże to prawdą?! Błagam, powtórz, powtórz te harmonijne i pełne słodczy słowa!

(Całuje ją w rękę).

A N T O N I N A.

Ostrożnie, panie, bo zawiść myśliwca, któremu twoja zdobycz się wymknęła, gotowa zemścić się na tobie. Czyż nie widzisz we wzroku hrabiego, tych iskier, które zdradzają jego wewnętrzny gniew i chęć zemsty nad tobą?

J A M I Ń S K I (odwracając się).

Ty, hrabio, jesteś zły na mnie? Wszak widziałeś, że nieużywając żadnego podstępu, siłą mojej wymowy tylko, odniosłem zwycięstwo nad tobą. Szlachetna to była walka: i sądzę, że nieprzyjaciółmi nie będziemy. Aby ci cokolwiek osłodzić, chwilę twojej porażki a mojego tryumfu, przyobiecuję ci dać, kilkanaście lekcji «sztuki podbijania serduszek niewieścich».

Polish Library
BIBLIOTEKA
No. 2053

Z Y G M U N T.

Dziękuję za obietnicę — i wywdzięczając ci się za to, dam ci radę: Uważaj, żeby twa zdobycz, którą twoja dzielna wymowa, z taką łatwością w moc twoją oddała, przypadkiem, tak doświadczonego, jak ty myśliwca — nie wyprowadziła na manowce — bo mając skrzydła, sama, z łatwością uniesie się pod obłoki, ażeby potem spocząć na darninie, pełnej zieleni, wonnych ziół i kwiatów.

(Z ironją).

Ty zaś, biedaku, gdy ugrzęzniesz w bagnie — chcąc się ratować i wydostać na wierzch, możesz wpaść jeszcze głębiej — i zrozpaczony, będziesz musiał wyczekiwać w trwodze, przybycie jakiej liściowej duszy, któraby ztamtąd, chciała cię wyciągnąć. Że zaś czupryna twoja przerzedzona, gotowa chwycić cię jeszcze za uszy — a choć są dosyć odstające, sądzę jednak, że w twoim wieku, być wyciąganym, jak student za uszy, byłoby dla ciebie, co najmniej... przykrem.

(Do Antoniny).

Do widzenia z panią.

(Kłania się Antoninie i ściska za rękę — do Jamińskiego).

Pamiętaj o mojej przestrodze — ja zaś, cierpliwie będę oczekiwał przybycia twego, na pierwszą lekcję «sztuki podbijania serduszek niewieścich»...

(Wychodzi).

SCENA IX.

ANTONINA — JAMIŃSKI — potem MALWINA.

JAMIŃSKI (po odejściu Zygmunta).

Cóżto miało znaczyć?... Jakiż tu związek mogą mieć moje uszy z jego porażką? Co on plótł o bagnie i o jakiejś duszy, która mnie będzie ciągnęła za uszy?

ANTONINA (śmiejąc się)

Rozpacz i zazdrość, podyktowały mu te wyrazy, pełne nonsensów i trywialnej złośliwości. Nie myśl pan o tem... Ot, lepiej bądź tak dobrym i zaśpiewaj mi co... Ja tak lubię sposób twojego śpiewu — tyle w nim czucia i tyle fantazji... że z przyjemnością słucham go.

JAMIŃSKI.

O, pani!

(Antonina siada na kozetce biorąc różę, którą przyniósł Jamiński. — Jamiński idzie do pianina, siada i zaczyna śpiewać. — Śpiew. — Muzyka M. de Rothschildt'a, słowa z W. Hugo).

Si vous n'avez rien à me dire
Pourquoi venir au près de moi
Pourquoi me faire ce sourire
Qui tourne rait la tête au Roi.
bis { Si vous n'avez rien à me dire
Pourquoi venir au près de moi.

ANTONINA (po śpiewie).

Dziękuję panu... Powiedz mi pan, proszę, czem się to dzieje, że ty w twoim wieku, daleko więcej się możesz podobać kobietom, niż niejeden młody!

JAMIŃSKI.

To tajemnica mojego patrona i serdecznego sprzymierzeńca — małego Kupidynka — który upodobawszy sobie mnie, pewną ilość strzałów ze swego kołczana, ofiarował mi. Że zaś ja, umiejętnie niemi rzucam, więc odnoszę tryumfy, nad tymi ordynarnymi sługami Plutona, którzy przenoszą: łeb dzika i flaszkę pospolitego trunku, nad pożywanie nektaru i ambrozji, siedząc obok bogiń, podobnych tobie pani!

ANTONINA.

A, teraz — pojmuje twoją siłę!

(Upuszcza różę — Jamiński schyla się po nią, podnosi i oddaje Antoninie, ale z trudnością przychodzi mu się podnieść; podniósłszy się, robi minę, jakby go coś zabolalo w krzyżach; lecz potem, raptem, przybiera wyraz twarzy nader uprzejmy).

Dziękuję panu... Patrz pan, jak piękną wydaje się ta róża — wszak prawda?

JAMIŃSKI.

Prześliczna!

ANTONINA.

Piękna... i już dobrze rozwinięta... Należy zatem, ostrożnie obchodzić się z nią, bo gdyby jeszcze kilka razy upadła na ziemię... listki osłabną i za najlżejszem dotknięciem, poodlatują. Widzisz, zaledwie raz upadła...

(Otrząsając listki).

A już, aż tyle listków z łatwością z niej opadło. Ciekawam bardzo, za drugim razem, wiele też listków opadnie?

(Rzuca różę — Jamiński ją podnosi i oddaje Antoninie — gra mimiczna ta sama, co poprzednio — Antonina uśmiechając się, bierze różę i zaczyna otrząsać z niej listki).

Patrz pan, patrz, za drugim razem, już daleko więcej listków opada i z większą łatwością. Ciekawam — trzeciego razu.

(Rzuca różę — Jamiński ją znów podnosi, ale już bez listków, tylko samą łodygę podaje Antoninie).

Cóżto, gdzież róża?

J A M I Ń S K I.

Trzymasz ją pani w ręczce.

A N T O N I N A.

Ależ to nie róża, tylko łodyga i miejsce próżne, gdzie były listki, ślicznego koloru i woni mile odurzającej.

(Wącha).

Teraz ani to pachnie, ani oko me bawi.

J A M I Ń S K I.

Bo pozrywane listki.

A N T O N I N A (pokazując łodygę).

Więc teraz, już to nie nie warte... wszak prawda?

J A M I Ń S K I.

Jak straciło i zapach i kolor, który oko bawił, to rzecz prosta, że zupełnie straciło wartość.

A N T O N I N A

Ta róża od pana?

J A M I Ń S K I.

Tak... jam ją przyniósł, jako symbol moich uczuć.

ANTONINA (oddając mu łądygę).

Które są teraz już bez wartości, tak jak te listki...

(Wskazuje na oberwane listki).

Łodyga zaś sama, ni kształtem swoim, ani bezwonnością, przyznasz pan, że mnie zachwycić nie może.

JAMINŃSKI.

To znaczy?

ANTONINA (z uśmiechem).

Żeś pan ostatni strzał swego najserdeczniejszego sprzymierzeńca, rzucił bezowocnie... Wprawdzie, trafiłeś w przedmiot do któregoś celował... ale strzała była już zbutwiała i tylko dotknąwszy celu... upadła na ziemię i rozsypała się... patrz pan, na ile kawałków, które...

(Dzwoni, wchodzi Malwina).

Bądź tak dobrą wyrzucić... na ogród...

(Wskazuje listki na ziemi).

(Malwina zbiera listki z róży i wyrzuca przez okno).

JAMINŃSKI.

Czy i z łądygą ma to samo zrobić?

ANTONINA (j. w.).

Ta... już za ciężką dla niej... Ale jeśli pan tak dobrym jesteś, wyręcz ją proszę... i sam wyrzuć, tę wstrętną dla mnie, bezwoną łądygę, która w salonie moim jest zbytęczną i tylko drażni moje nerwy!

JAMINŃSKI.

Teraz rozumiem słowa hrabiego... Dobry przyjaciel... A ja go posadził o jakieś zajaczki, kiedy powiedział: że mogę wpaść w bagno, z którego ciągnąć mnie będą za uszy.

ANTONINA.

A, prawda... dobrze że mi pan o tem przypomniałeś. Ja pana tutaj zatrzymuję, a tam, hrabia czeka, na pierwszą lekcję «sztuki podbijania serduszek niewieścich». Spiesz się pan, spiesz, bo biedny hrabia, z niecierpliwością pewnie, oczekuje, na wykład pańskiej teorji... miłości.

JAMINŃSKI.

Zaniechałem już tej myśli, bo widzę, że moja teorja już się przeżyła... Pójdę złożyć ją w archiwum. Żegnam panią.

(Ochodząc, n. s. do Malwiny).

Z posagu nic nie będzie!

(Wychodzi).

MALWINA (n. s. śmiejąc się).

Ja wiedziałam o tem.

SCENA X.

ANTONINA — MALWINA.

ANTONINA

Co on ci tam szepnął, odchodząc?

MALWINA.

E... nic, proszę pani.

ANTONINA.

Coś słyszałam o posagu.

MALWINA.

Tak jest... Dziś rano, jak był pierwszy raz, powiedział mi, że jeżeli go będę wychwalała przed panią, i pani go pokocha, to mi da posag.

ANTONINA.

A więc, pozbawiłam cię posagu!

MALWINA (j. w.).

Ja z góry o tem była przekonana.

ANTONINA.

A widzisz, żeś się pomyliła... Pozbawiłam cię posagu, od pana Jamińskiego, lecz to nie wyklucza możliwości, iż go otrzymasz od kogo innego.

MALWINA.

Jakto, proszę pani!

ANTONINA.

Ja ci go dam.

MALWINA (z radością).

Ach! proszę pani!

(Całuje ją w rękę).

ANTONINA.

Tak jest, dam... za dotrzymanie tajemnicy, iż jestem zameżną... Bo gdybyś mnie była zdradziła, nie miałabym sposobności, najpierw: sama doskonale się zabawić, a powtórę... przekonać się o mojej niezachwianej miłości dla Henryka, który zaufał

mi, i nie lękał się puścić samej, tu, do wód, gdzie jest pełno tych myśliwców, polujących na nas, skośmy tylko, pozbawione męskiej opieki.

MALWINA.

Rzeczywiście, proszę pani, że to jest dowód szalonej miłości, aby o kilkadziesiąt mil od męża, pozostać mu wierną... tembardziej, jeżeli taki, jak pan hrabia, zjawi się kusiciel. Bo o pana Jamińskiego, byłam zupełnie spokojną... jak również o tego młokosa, pana Aleksandra.

ANTONINA.

Ach, prawda... zapomniałam, że jest jeszcze trzeci...

(Śmiejąc się).

A przecież i tego muszę odsadzić, jak kotka od mleczka. Z tym, bo doprawdy, najtrudniejsza będzie scena... Gdzieżto jest jego list?

MALWINA.

Tutaj proszę pani.

(Podaje list Olesia).

ANTONINA (otwiera i czyta).

„Dzień dobry piękne zasyłam — i składam
U stóp twych pani, ten skromny bukietik
Fiołków... Które niech będą zarazem:
Godłem mej duszy i uczuciem wyrazem.
Ach! z utęsknieniem oczekuję chwili
Ujrzenia ciebie, o! drogi Aniele!
I niespokojny, prawie że w gorączce,
Chcę złożyć pocałunek, na Twojej cudnej rączce!

O! chwilo ty szczęśliwa, chwilo upragniona!
 W której będę mógł ujrzeć mój ideał drogi,
 Rzucający się w moje szczęśliwe ramiona,
 Kiedy wstępować będę w Twego domku progi.
 Radości mojej wówczas opisać nie zdoła,
 Żaden w świecie poeta... Ty, o pani, jedna...
 Mogłabyś tylko odczuć, co się w sercu dzieje...
 Jakiego szczęścia dozna, moja dusza biedna!"

(Śmieje się).

Myśl i rymy, godne, rzeczywiście, takiego poety
 jak on! A więc czekajmy, aby się rzucić w ra-
 miona, tego poczynającego swój zawód myśliwca.
 A ty, Malwinciu, idź na pocztę i dowiedz się, czy
 nie ma listu od pana.

MALWINA.

Dobrze, proszę pani.

(Wychodzi).

SCENA XI.

ANTONINA — potem OLEŚ.

ANTONINA

(Idzie do pianina i zaczyna grać jakąś fantazję, podczas której mówi).

Jak wrócę do domu i będę opowiadała to
 wszystko Henrykowi, zaręczam, że nie zechce
 uwierzyć.

(Drzwi się otwierają i nieśmiało ukazuje się Oleś. — Antonina grając, nie
 widzi go, ten podsuwa się na palcach i staje za nią).

OLEŚ (n. s.).

Cudna!... O! Boże! dodaj mi odwagi!... Nie
 wiem jak zacząć, czy wierszem, czy prozą?... Pod-

czas muzyki, właściwiej by było wierszem przemówić.

(Antonina uderza ostatni akord, wstaje i obraca się, a spostrzegłszy Olesia, wydaje krzyk — ten przerażony, cofa się raptownie).

ANTONINA.

Ach! jakżeż pan mnie przestraszyłeś!

OLEŚ.

Nie chciałem pani przerywać tej cudnej melodji, która z pod rączek pani, wychodziła... jak śpiew Cherubinów!

ANTONINA.

Serdecznie dziękuję za komplement.

(Podechodzi do kozetki, bierze wiersze Olesia).

Ja znów, muszę wyznać panu, że jego wiersze, sprawiły na mnie ogromne wrażenie... Są tak piękne, że gdybym nie wiedziała, iż Mickiewicz już dawno nie żyje, podejrzywałabym go o autorstwo.

OLEŚ (zachwycony).

To nie ja pisałem...

ANTONINA.

Jakto, nie pan?

OLEŚ (poprawiając się).

To jest ja... tylko chciałem powiedzieć, że natchniony miłością, stworzyłem coś tak niezwykłego... Bo przedtem, proszę pani, nigdy wierszy nie pisałem.

ANTONINA.

To wielka szkoda!

OLEŚ.

Lecz teraz, sąd twój pani, jest wstanie natchnąć mnie, do napisania czegoś... jeszcze wznioślejszego!

ANTONINA.

A czyż może być coś wznioślejszego, jak ten wiersz:

(Czyta).

„I niespokojny, prawie że w gorączce,
Chcę złożyć pocałunek na Twojej cudnej ręczce!“

OLEŚ.

I pani znajduje, że to jest ładne?

ANTONINA.

Bezwątpienia... I pozwalam panu urzeczywistnić to.

(Podaje mu rękę do pocałowania).

OLEŚ.

O! pani!

(Całuje ją w rękę).

O, jak pani jesteś dobrą!

ANTONINA.

Albo ten ustęp:

(Czyta).

„O! chwilo ty szczęśliwa, chwilo upragniona,
W której będę mógł ujrzeć mój ideał drogi,
Rzucający się w moje szczęśliwe ramiona,
Kiedy wstępować będę w Twego domku progi!“

OLEŚ.

Jakto, więc pani byś...

ANTONINA.

Chcę... i to urzeczywistnić.

OLEŚ (chce ją objąć).

O!

ANTONINA

(wstrzymując go ruchem ręki).

A, zapozwoleniem... musimy trzymać się tekstu dosłownie.

„Kiedy wstępować będę w Twego domku progi“.

Musisz pan zatem wyjść za drzwi, otworzyć je... wtedy ja, ujrzawszy pana, rzucę się w jego objęcia.

OLEŚ (uradowany).

Doskonale!

ANTONINA.

A więc, zaczynamy.

OLEŚ

(wychodzi za drzwi środkowe, chwileczka pauzy — Antonina śmieje się — Oleś drzwi otwiera, staje w progu i otwiera ramiona, oczekując na Antoninę. W tej chwili, ukazują się Henryk i Malwina).

SCENA XII.

ANTONINA — ALEKSANDER — HENRYK — MALWINA.

HENRYK

(widząc Olesia stojącego w drzwiach).

Zapozwoleniem...

(Usuwa go na bok).

ANTONINA (z radością).

Henryk!

HENRYK.

Tosiu droga!

(Rzucają się sobie w objęcia).

OLEŚ

(cicho do Malwiny).

A to... kto taki?

MALWINA (cicho do Olesia).

To mąż mojej pani.

OLEŚ (przeżuty).

Co? mąż?!

(Chwyta za kapelusz i ucieka).

ANTONINA.

A ty zkad się tu wzięła?

HENRYK.

Wprost z Warszawy... Chciałem ci zrobić niespodziankę.

ANTONINA.

I rzeczywiście, zrobiłeś mi prawdziwą niespodziankę... Ale siadaj, siadaj... jakżem szczęśliwa! O, drogi Henryku, jakże ci wdzięczną jestem!

HENRYK

(ściska ją, potem odwraca się, szukając Olesia).

A gdzież się podział ten młody człowiek? Cóż on tak stał w drzwiach rozkrzyżowany?

ANTONINA.

A, prawda... gdzież on się podział?

MALWINA (śmiejąc się).

Uciekł, proszę pani, jak mu powiedziałam, że pan, to mąż pani.

HENRYK.

Cóż to wszystko znaczy?

(Antonina i Malwina zaczynają się śmiać — Henryk pobudzony serdecznym śmiechem kobiet, zaczyna się także śmiać).

Ależ na Boga! wytłómaczcież mi, z czego się tak śmiejecie?

ANTONINA

(prowadzi go do kuzetki).

Siadaj, opowiem ci wszystko.

HENRYK.

Ciekawym.

ANTONINA.

Więc najpierw zacznę od herbowego myśliwca...

(Malwina śmieje się, Antonina także nie może utulić się od śmiechu).

Otóż, muszę ci powiedzieć, że zjawilo się, aż trzech myśliwców, którzy pragnęli...

(Zasłona spada).

Lwów, dnia 24. kwietnia 1885 r.

